ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Października. N:er 40. Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. 33. 34. 35. 36. 37. Rozmaitości.)

VIII.

Alkierz o dwóch łóżkach.

W godzinę po moim powrocie, pobiegłem ku ulicy Mario-di Fiori, z sercem drżącém z radości na myśl że zobaczę znowu moją Giglię, od któréj tak długo byłem oddalony niemając o niéj żadnéj wieści. O kilka kroków od domu spotkałem ciekawą sąsiadkę, przed któréj wzrokiem nieuszło nic co się działo w jéj widokręgu. była bowiem nieustannie jak na straży by zbierać wszystkie dramatyczne wypadki zdarzające się na ulicy. Zatrzymała mnie uśmiechając się w chwili, kiedym ją chciał ominąć.

— Niebiegnij pan tak prędko, rzekła mi; nic dobrego niedowiesz się tam dokąd spieszysz.

Chciałem iść daléj niesłuchając téj szalonéj baby, ale zatrzymała mnie za połę i gadała daléj:

— Nietrzeba było tak długo podróżować z córką mistrza Angelo, ta, którą pan szukasz, sprzykrzyła sobie czekanie.

— Co pleciesz babo, zawołałem w złości.

— Ja powiadam, że gołąbek wyleciał; Giglia wyjechała z mężem, którego jéj dał w podarunku Monsignor Ettore.

— To fałsz! złośliwa gadzino, to fałsz!

— A, ty mi niewierzysz, odparła: idźże sobie idź povero cherubino! a zobaczysz czy kłamię.

Za chwilę stanąłem w domu Maryi, była sama.

— Gdzie Giglia? zawołałem wchodząc.

— A to ty! Manellino, rzekła niemieszając się wcale; pójdźże uściskaj mnie mój chłopcze!

— Gdzie jest Giglia? gdzie Giglia?

— Ależ Manello, czy tak się wita dawnych znajomych? Dawniéj byłeś grzeczniejszy.

— Przepraszam was, jak się macie Maryo. powiedźcie mi z łaski swojéj, czy Giglia jest tutaj.

— Niema jéj w téj chwili w domu. Ale siadaj-no: zaraz tu będę, pogadamy z sobą.

Widocznie przestraszyła się z razu mojéj niespodzianéj obecności i chciała pozbierać swe myśli by uniknąć gwałtownéj sceny. Ale jéj ociąganie się z odpowiedzią kazało mi się domyślać strasznéj prawdy.

— Czy poszła za mąż?... zapytałem znowu z wzrastającą trwogą; czy poszła za mąż?

— O tém wszystkiém będziemy mówić zaraz, odpowiedziała chcąc wyjść z pokoju.

— Nie Maryo, natychmiast! Powiedźcie, błagam was, tak albo nie, czy wyjechała z Rzymu z mężem?

— No, no! Manello! nierób-że takiego krzyku, opamiętaj się; gdybyś niebył takiém dzieckiem, byłabym ci już wszystko powiedziała.

— Ah! mój Boże! widzę że mi powiedziano prawdę... niema nadziei!... Biedna Giglia!... Przecież ona mnie kochała!... Ah mój Boże, mój Boże!... Cóżeście z nią zrobili!

I chciałem uciec ażeby nieuledz piérwszemu napadowi mego gniewu przeciw matce Giglii. Jéj głównie na tém zależało, ażebym gdzie indziéj nieokazał mojéj rozpaczy, chciała mnie więc zatrzymać bym się uspokoił; stanęła przede drzwiami i zastąpiła mi drogę.

— I cóż ci to opowiedziano, caro Nellino! Zostań chwilkę ze mną, ja ci powiem ile w tém prawdy... Uspokój się nim wyjdziesz... Czy chcesz koniecznie wyglądać jak z zmysłów obrany?

Ja nic niesłuchałem, szarpnąłem ją gwałtownie z miejsca, odtrąciłem do sofy stojącéj w pokoju, i uciekłem spiesznie z tego znienawidzonego odtąd przybytku.

Niewiem czym panu mówił, że od roku już przestałem być na opiece mego wuja. Zamieszkałem zupełnie u mistrza Angelo Volpe, ażeby dla wykończenia zamówionych robót być zawsze przy nim. Wyszedłszy na ulicę stałem się przedmiotem publicznéj ciekawości, tak rysy moje były zmienione: nieśmiałem więc wracać do mego mistrza. Cóżby powiedziała Plautilla widząc mnie tak zmienionego? Minąłem więc ulice ludniejsze i poszedłem szukać samotności za Tybrem, na błoniach ścielących się u stóp kasztelu Sant Angelo. Przybywszy tam rzuciłem się na murawę twarzą do ziemi i puściłem wodze smutkowi.

Tak głęboką czułem boleść, iż nigdybym niebył sądził że człowiek jest w stanie znieść tyle. Giglia którą kochałem tak dawno! Giglia jedyny cel moich usiłowań; nagroda całéj mojéj pracy! Giglia opuściła Rzym... wiarołomna!... stracona dla mnie niepowrotnie! Przewracałem tysiąc razy tę myśl okrutną w mojéj głowie i niemogłem wyczerpać całéj jéj goryczy.

Nagabywały mnie także myśli oburzenia i zemsty. Chciałem iść szukać tego męża, tego nikczemnego uwodziciela, którego ani nazwiska ani miejsca pobytu nieznałem: postanowiłem wydrzeć mu mój skarb, chociażbym się nawet dopuścić miał zbrodni. We wszystkich tych myślach przeważała wola odzyskać mojéj narzeczonéj.

Już noc zapadała, gdym powracał do mistrza Angelo. Ale niebyło jeszcze

tak ciemno, ażeby Plautila niepoznała jak rysy moje i cała moja postać były zmienione.

— Mój Boże! Manello, cóż tobie, czy jesteś chory, zawołała widząc mnie; masz jakie zmartwienie?

— Ah Plautillo! bardzo jestem nieszczęśliwy! Wydano Giglię podczas mojéj niebytności. Już niema w Rzymie... nigdy już jéj nieobaczę.

Córka mistrza Angelo tyle już sama doznała nieszczęścia w miłości, że pomimo promyka nadziei, jaki mógł zajaśnieć w jéj duszy przy tém zdarzeniu, dawała mi jednak dowody najszczérszego spółczucia. Zapomniała w téj chwili, ile rozpacz moja jéj saméj była dotkliwą, widziała we mnie tylko serce zranione jak jéj własne. Przycisnęła mnie do łona i przez długą chwilę trzymała mnie w swych objęciach niemówiąc ani słowa. To uściśnienie magnetyczne budząc we mnie uczucia szczérego zaufania i prawdziwéj sympatyi, zrobiło na mnie dziwne wrażenie.

Od mego widzenia się z Maryą nieuroniłem ani jednéj łzy; gniew tylko i rozpacz miotały mą duszą; gdyby ten stan był trwał dłużéj, przypłaciłbym go był życiem. Ale w objęciach przyjaźni uczułem ulgę niewypowiedzianą, obfite łzy puściły mi się z oczu, krew się we mnie uspokoiła, zacząłem drżeć na całém ciele. Było-to przesilenie mego żalu w niemoc fizyczną.

— Povero! rzekła Plautilla, ty chory jesteś: jakże drzą twoje członki!

Kazała mi się położyć, a sama usiadła przy mnie. Dzięki jéj troskliwemu pielęgnowaniu, gorączka moja w kilku dniach ustąpiła. Gdym wstał z łoża boleści, gniew mój rozwionął, pozostał w mém sercu tylko żal i nieugaszone pragnienie widzieć, przynajmniéj raz jeszcze, moją kochaną Giglię.

Chciałem usprawiedliwić, uniewinnić się w jéj oczach, wyjaśnić jéj otwarcie stosunek mój z córką mistrza Angelo w ciągu mojéj podróży. Chciałem się dowiedzieć z jéj własnych ust, jakiemi środkami zdołano wydrzéć mi ją; chciałem także słyszeć jéj żale i jéj zwierzenia po raz ostatni. Zdawało mi się, że to ostatnie widzenie się z nią mnie uspokoi i że po przyjacielskiém porozumieniu się między nami, powrócę objąć sławę i bogactwa, jakie mnie czekały w pracowni mistrza Angelo Volpe.

Jednego wieczora napisałem więc to wszystko Plautilli, prosząc ją, by mnie wytłumaczyła przed ojcem. Przyrzekłem jéj że po téj wycieczce powrócę do nich i oddam się pracy bez żadnéj przerwy. Zostawiwszy ten list w mym pokoju, opuściłem Rzym po raz drugi, niewiedząc nawet jak się nazywa mąż Giglii.

Dłużéj niż miesiąc szukałem bezskutecznie. Gdziem przybył do jakiego miasta, piérwszą moją rzeczą było zwiedzać miejsca, gdzie ludzie tłumnie się zbierają.

Wbrew zwyczajowi ludzi dotkniętych smutkiem, szukałem ciżby, zwiedzałem jarmarki i uroczystości, gdziem mógł zastać liczne zgromadzenie. Tym sposobem spodziewałem się spotkać z przedmiotem moich poszukiwań, niechcąc zasięgać wiadomości od tych którzy się

przyczynili do mego nieszczęścia. Rzeczywiście tylko nadzwyczajnym przypadkiem mogłem osiągnąć cel méj podróży; tylko szaleniec lub zakochany mógł sobie obrać taką drogę.

Jednak bądź-to prosty przypadek bądź rodzaj instynktu czy jasnowidzenia, jakie przypisują ludziom, których zmysł nie jest w zdrowym stanie, dość żem znalazł czegom szukał, i prędzéj aniżelim się mógł spodziewać.

Przybyłem do Rimini w czasie jarmarku na którym zwykle bywa zjazd wielki. Oberże były napełnione tak że dla znacznéj liczby przybywających urządzono na prędce budy drewniane, gdzie się goście jarmarczni mieścili jak mogli. Postanowiłem jednak nim się zdecyduję na tak niewygodne mieszkanie, szukać jeszcze po hotelach wygodniejszego pokoju. Po długiém szukaniu znalazłem nakoniec izbę o dwóch łóżkach, przeznaczoną dla gościa który nieprzybył w dzień oznaczony. Zgodziłem ten pokój dla siebie i zapłaciłem czynsz za tydzień z góry. Zaledwiem się umieścił, wchodzi w towarzystwie oberzysty jakiś mężczyzna słuszny, opalony, z miną surową. Obejźrzał się po izbie i zaglądnął do niży, gdziem złożył przed chwilą moje rzeczy.

— Otóż właśnie ten pokój byłby mi dogodny!... I zwracając się do mnie, rzekł: Jeżeliś pan tak łaskaw odstąpić mi ten pokój, zapłacę mu, co zażąda.

Odmówiłem mu, a on bardziéj naglił na mnie.

Młody człowiek jak pan, kawaler, który niema zachodu z żoną, może dość łatwo poprzestać na austeryi drewnianéj; gdybym ja był sam, pewniebym się panu nienaprzykrzył.

Ani twarz, ani głos tego jegomości niepodobały mi się wcale; niechciałem przeto ustąpić. Ale on niedał się odstraszyć; i zbliżając się do niży zmierzył okiem przestrzeń, i zrobił mi następującą dziwną propozycyę:

— Pan potrzebujesz tylko jednego łóżka, nieprawdaż? Otóż widzisz pan, wszystko się da pogodzić; gospodarz mógłby za pańskiém przyzwoleniem dać parawan między te dwa łóżka; moja żona wcale nie wybredna, szczególnie w drodze, i dalipan poprzestaniemy chętnie na téj połowie pomieszkania na parę dni. Gospodarz prosił mnie także ażebym przyjął tę propozycyę przedstawiając, że przykro-by mu było odprawić gościa, który zwykle do niego zajeżdża; niewidziałem więc przyczyny dalszego wzbraniania się i przystałem. Nieznajomy pospieszył po rzeczy i ażeby uwiadomić żonę, która czekała w powozie. Sam został jeszcze chwilę by zaspokoić weturina; żona weszła piérwsza do izby. Wyobraź pan sobie moje zdziwienie: była-to Giglia!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SEWILLA I JÉJ MIESZKAŃCE.

(Dokończenie. Ob. Nr. 39. Rozmaitości.)

Komedya hiszpańska zwykle jest ciekawéj osnowy, dobrze opracowana i z prawdą oddana. Znajdzie się u niéj zawsze mąż aż do śmieszności zazdrośny, chytra, lecz cnotliwa a rządna przytém małżonka, podstarzała zalotnica, jakiś gagacik bez doświadczenia, obok dziad zrzęda, bogaty w rozum, w statek ubogi, wkońcu i jakieś lube, niewinne dziéwczę. Charakterystyczne tańce narodowe ustąpiły w Hiszpanii tak jak i w innych krajach rozrywkom i zabawom bardziéj szkodliwym, mianowicie kartom; utrzymują się jeszcze tylko na scenie ale i cyganki niemi się popisują. Publiczność ma wielkie w tańcach zamiłowanie, i zwykle pustki w teatrze, jeźli nie ma baletu. Tańce hiszpańskie są całe w pantominach i prawie wszystkie sobie podobne. Jeden z najulubieńszych a dawniéj zakazanych zaprowadzony jest znów z niektóremi odmianami pod nazwą „*Polaca Masuriga.*“ Skład jego taki: dwoje kochanków zbliża się ku sobie, mijają się klekotając kastaniettami, stają, oglądają się i przechylają czołem tak blisko, że usta ich zdają się łączyć w pocałowaniu, gdy w tém tancerka uchyla się nagłym skokiem i uchodzi zwinnie przed natarczywością zawiedzionego. I znów się schodzą; kastanietty klekocą coraz głośniéj, żywiéj, rozkoszniéj. Dziewczyna wabi migami, zaskakuje w pląsach, i wdziękami zaczarować się sili. Młodzieniec stawia się hardo ta razą, wreszcie zwyciężony jéj lubością ulega żądzy, ale zalotna wywija się znowu zpod jego uścisku, i ponetom i żartom końca niema. Muzyka, i gesta dziewczyny zdają się powtarzać: mannana, mannana, (jutro, jutro), słowo małéj otuchy, lecz w Hiszpanii bardzo w używaniu i przy każdéj niemal sposobności przytaczane. Nie jeden téż cudzoziemiec zalecający się Hiszpankom musiał się mannaną pocieszać i na mannanie poprzestać. — Inny taniec, znany „*Ole*“ jest tém u Hiszpanek, czém Tarantella u Neapolitanek. W tańcu tym występuje jedna tylko tanecznica, nie w stroju świątecznym, lecz cała w białym rąbku. Dziwna, przycichła, nie melodyjna prawie ozywa się muzyka, a w podniesionych ręku drzą nieśmiało kastanietty. Długo tak stoi bez ruchu, potém wypręża ciało z początku nieznacznie tylko, lecz wkońcu wystrzela w górę jak błędne światełko i zdaje się unosić w powietrze, a wzrok jéj jakby jakiéj prorokini natchniony. Wyraz ten jednak zmienia się wkrótce i przechodzi w smutek głęboki, w tajemniczą niedolę: drząca pochyla się i zwolna pada na wznak. Żywy obraz boleści — tony rzewnéj muzyki mieszają się z drżącém klekotaniem kastaniettów. Lecz zaledwie dotknie się ziemi zrywa się jak płomyk przed zupełném zgaśnięciem, oblicze się wyjaśnia, niewymowna radość przenika całą jéj istotę, z wzniesionemi ramionami stoi spokojnie jak posąg marmurowy, a taniec magiczny kończy się wartkiem klekotaniem kastaniettów. Zasłona spada. — Taniec ten odznacza się wprawdzie dziwnemi i ponętnemi poruszeniami ciała, lecz najbardziéj zadziwia niepojętą siłą muszkułów, z jaką tancerka bez podpierania się rekami pada na wznak na ziemię i z ziemi się zrywa.

Zabawa wieczorna kończy się zwykle improwizowaną krotochwilą zwaną u Hiszpanów „*Comedia del arte*;“ plan jéj wprawdzie naprzód już ułożony, lecz dyalog pozostawiony do woli artystów. Sztuki te przedstawiają zdarzenia potoczne lub publiczne w sposób żartobliwy. Niedawno byłem na takiém przedstawieniu pod tytułem „Powrót.“

Do pewnéj austeryi przybywa dwóch podróżnych. Jeden i drugi zajmował się potąd témsamém rzemiosłem — kawalerskim rozbojem. Jeden z nich, dawniéj krawiec powziął

szlachetne postanowienie wypocząć po trudach i wyrzec się zupełnie tyle niebezpiecznego co i uciążliwego rzemiosła. Wielkie nożyce, które mu potąd służyły za sztylet, miały znów płatać postawy. Z tym zamiarem heroicznym zwierza się swemu towarzyszowi, który jednak na to nie całkiem przystaje. Tymczasem wchodzi austernik, spogląda na gości zpod oka, i niebawem poznaje w rozbójniku braciszka swego, o którym juž był i słuch zaginął. Następuje scena rzewnego rozczulenia. Radość tę radby podzielać z żoną, dziećmi i sąsiadami; bieży więc i zwołuje wszystkich. Tymczasem rozpoczął nawrócony łotrzyk szumną rozprawę o szczęściu pożycia domowego, a niepoprawiony braciszek przysłuchując się mu jednem uchem ciągnął cotchu wino z szawłoku, i tak się niem dzielnie uraczył, że brat austernik za powrotem swoim zaczął mu jako pijanicy robić wyrzuty. Tknięty tém łotr do żywego, a czuły o swój honor porywa się do noża. Brat austernik przyjmuje wyzwanie, i chwyta również za nóż i płaszcz swój; obydwa te bowiem przedmioty niezbędne są przy takim pojedynku. Płaszczem okręca się lewe ramię zwieszając jedną jego połę ku ziemi, a to równie dla wstrzymania ciosu jak i ukrycia ręki uzbrojonéj, ażeby przeciwnik nie mógł się spostrzedz, zkąd go ma cios dosięgnąć, a co jest także we zwyczaju i u matadorów przy walce z bykami. Przeciwnicy upatrzywszy najsposobniejszą do natarcia chwilę uderzają na siebie, i wtenczas-to zwykle utraca jeden z nich życie.

Z pomienionych dwóch braci ginie austernik, a według obyczaju krajowego i prawideł sprawy honorowéj, zostawia zwycięzca utkwiony nóż w ranie zadanéj przeciwnikowi, jakby na dowód, że go jednym tylko ciosem pokonał. Braciszek zbójca przychodzi nareszcie do upamiętania i rozpacza. Gdyby nie to, że się pozbył już noża — wbiłby go pewnie w piersi swe własne i tak się własnoręcznie ukarał, jak Don Cezar „w Oblubienicy z Messyny.“ Wierny jednak towarzysz jego a dawniejszy krawiec nieopuszcza go i w téj dobie, i wtyka mu w ręce nożyce dowodząc wymownie: że jest jeszcze coś lepszego nad to życie doczesne, i że grzech największém na téj ziemi nieszczęściem. Na to przebija się zbójca nożycami, a krawiec zamiast chóru klasycznego zaczyna rozumować i sadzi się na głębokie reflexye. Tymczasem zbiegają się sąsiedzi, daléj żona i dzieci zamordowanego, i następuje scena przerażającéj rozpaczy. Wkońcu rozwiązuje się dramat szcześliwie, gdyż krawiec poprawiony zaręcza się z wdową po austerniku, i zarzuciwszy dawniejsze swe rzemiosło krawca a potem rozbójnika przeistacza się w oberżystę.

Układ krotochwili téj chociaż nie bardzo sztuczny lecz dość zabawny, zwłaszcza że artysta który udawał krawca, umiał zręcznie wyszydzić autorów trajedyi nowoczesnych, co to bohaterom swoim wkładają w usta szumne dyalogi i zdania niedorzeczne, i każą im rozprawiać szeroko, chociaż według rozsądnego pojmowania sytuacyi powinienby taki bohater raczéj działać niż się z uczuciami swojemi rozwodzić. Zresztą miałem dobrą sposobność przypatrzyć się scenie krwawéj, jaka pomiędzy ludem hiszpańskim istotnie odbywa się nie raz, i tu bez uczucia zgrozy mogłem obeznać się z obyczajem pospólstwa.

Wszystko-to jednak niczém u Hiszpanów w porównaniu z igrzyskiem walki z bykami. A że jéj w Sewilli dawno już nie wyprawiano, przeto zapowiedzianéj podczas mego w tém mieście pobytu wyglądano z największém upragnieniem. Igrzysko przypadało w dzień niedzielny, i od samego już ranka witali się znajomi i pozdrawiali wesołym okrzykiem: „Corrida de toros!“ lub tylko urywkowo: „Toro!“

Arena sewilska jest tak obszerna jak „Colosseo,“ lecz ma tylko trzy rzędy siedzeń i jeden dział loż odrębnych. Na kilka jeszcze godzin przed rozpoczęciem igrzyska zaległy arenę tłumy ciekawych, a muzyka głusząca

podobna do ryku zwierzęcego stawała za symfonię i zwykłą przygrawkę.

Nareszcie zawitały władze najwyższe, a między temi zasiadł gubernator w loży największéj i najozdobniejszéj, poczém rozwarto bramę i wysunęła się z niéj grupa junaków wystrojonych nie zbyt okazale. Przodem wlekło się cztérech jeźdźców z lancami na szkapach nędznych, którym oczy zawiązano chustkami. Za jeźdźcami kroczyło dwóch matadorów, jeden stary a drugi jeszcze młody; obydwa mieli na sobie wielkie płaszcze czerwone, siatkowate czapeczki, krótkie spodnie do kolan, białe pończochy i trzewiki z wielkiemi sprzączkami.

Młodszy z matadorów był urodziwy i dobrze zbudowany, starszy zaś miał nogi pokrzywione i wyglądał jak poczwara.

Daléj szło całe grono przystojnych młodzieńców w zwykłym stroju matadorów, w kurtkach błękitnych śrebrem naszywanych. Okręciwszy się dokoła areny stanęła cała grupa przed gubernatorem, a stary matador miał przytém długą przemowę kończącą się prożbą o pozwolenie rozpoczęcia walki i zgładzenia przeciwnika. Na to cisnął gubernator na arenę w znak przyzwolenia klucz uwiązany na wstęgach jasnego koloru. Matador podniósł klucz z uszanowaniem i wręczył go znów innemu, który stajnię otworzył, gdy tymczasem obydwa matadorowie stanęli w ukryciu. Wkrótce wypadł ze stajni byk młody w rażnych poskokach, stanął na chwilę, obejźrzał się trwożliwie dokoła, i zaczął zmykać przed chłopakami, którzy go obskoczyli i kłuli w kark tyczkami. Na wszystkich tyczkach przywiązane były u ostrza rakiety. Śród trzasku rakiet, ognia i dymu ryczał byk z bolu i trwogi. Do walki z jeźdźcami nie miał ochoty, a niemogąc ujść z areny rzucił się na starego matadora, co mu się był z ukrycia umyślnie nawinął.

Śmiały matador czeka na spotkanie i zmierza się z orężem ukrytym pod połą płaszcza. Byk bieży wprost na przeciwnika, lecz ten uskakuje nagle na bok i usiłuje w tejże chwili ugodzić go w serce. Jeźli się mu cios ten powiedzie, natenczas nie powinien już wydostawać oręża, który albo tkwi w ranie lub wylatuje na ziemię. Stary matador wypadał trzykroć bezskutecznie na byka, i dopiéro za czwartym zawodem ugodził go śmiertelnie. Zakłutego byka wywlekło z areny ośm mułów śród hucznych oklasków i wrzawy niesłychanéj.

Drugi byk wypuszczony na arenę, nierównie większy i bardziéj dziki od tamtego, parskał z wściekłości, i zdawał się wyzywać do walki. Rażno i śmiało obskoczyli go zewsząd chłopaki, dokuczając mu do żywego. Rozdrażniony i przywiedziony do rozpaczy rzuca się na jednego z jeźdźców, powala go wraz z koniem na ziemię, i straszliwemi rogami wypuszcza z biednéj szkapy jelita. Ośm mułów wywlekło konia, a jeźdźca wyniesiono z areny na rękach. Teraz stanął młody matador do walki; jego uroda i lata młode wzbudziły w widzach żywe sympatye. Zmierzył byka śmiałém spojźrzeniem; zwierz rzucił się nań wściekle, matador uskoczył na bok szczęśliwie, lecz cios mu się nie powiódł a oręż wypadł na ziemię. Byk zwraca się spiesznie i znów uderza na swego przeciwnika, lecz matador już trzymał w ręku broń utraconą, i ugodziwszy byka w serce kładzie go na miejscu. Głośny okrzyk podziwu wieńczy zwycięzcę nagrodą.

Zbrzydziłem sobie całe to igrzysko i wyniosłem się z areny, gdzie jeszcze pięć byków miało się zajuszyć.

Dla uzupełnienia opisu obyczajów Sewilli wspomnę tu jeszcze i o zwyczajach wyższych klas mieszkańców. Zbytku u nich na zewnątrz nie wiele, nawet powozy bardzo są rzadkie, a wytwornych i świetnych ekwipażów nieznajdzie żadnych. Obchodzenie się ich bardzo uprzejme, ale ceremonialność nie raz staje się bardzo niewygodną i nudną. Częste powtarzanie: „Życzę panu dobréj nocy,“ w ceruliku sewilskim jest istotnie parodyą grzeczności mieszkańców Sewilli, którzy go-

ścia przy pożegnaniu odprowadzają zwykle aż na dziedziniec. Cudzoziemcom zdawać się może dziwnym ten zwyczaj, zwłaszcza że dziedzińca nie uważamy tak jak w Sewilli za izbę mieszkalną. Słodycz i uprzejmość Sewiliczyka sprawiają zresztą, że podobne odprowadzenie gościa nie wydaje się być przesadną tylko grzecznością, lecz raczéj oznaką szczerości i życzliwości. Cudzoziemcowi nie władnącemu dobrze językiem hiszpańskim przychodzi konwersacya z wielką trudnością, zwłaszcza że Hiszpan lubi się nawet w mowie potocznéj popisywać z dowcipem i wyrażać kwiecisto. Jakoż przestrzegają pilnie tego zwyczaju, gdyż inaczéj łatwo tam popaść w posądzenie o brak dobrego wychowania. Każdy wyraz grzeczności i uprzejmości musi tam oraz błyszczéć i dowcipem. Gdzieindziéj w Europie wystrzegają się wszelkiéj przesady i wyrażają się jasno i zwięźle, gdy przeciwnie dobry ton w Hiszpanii nie może się obejść bez szumnych i zawiłych frazesów.

Niektóre wszakże pilnie u nich przestrzegane formy są nie raz i uciążliwe. Raz mi wypadło oddać pismo rekomendacyjne pewnéj Excelencyi, lecz przestrzeżono mnie, że należy przybyć powozem. Musiałem więc wynająć zupełny na cały dzień ekwipaż, gdyż na jedną lub więcéj godzin powozu w Sewilli nie dostanie. Mimo najlichszego powozu, dychawicznych koni i obszarpanéj liberyi kazał sobie właściciel zapłacić jednak 4 duros (talarów). Względy towarzyskie zachowują tam jak najściśléj, i pewnie każda wizyta będzie odwzajemniona, lecz wszystko-to przyprawia podróżującego tylko o niepotrzebną stratę czasu.

Sztuczne drzewo. Panowie Barth i Potia w Paryżu fabrykują sztuczne drzewo, z którego wyrabiają najcudniejsze rzeczy, jakie tylko najdoskonalszy rylec i dłuto rzeźbiarskie wytworzyć zdoła. A sposób jest bardzo łatwy, który dla łatwości i do nas przeszczepić-by się godziło. Biorą trociny miałko tarte, mieszają z karnkiem dodawszy nieco roztworu kwasu garbarskiego, i rozrabiają na ciasto. To wszystko! Z tego ciasta wyrabiają co się podoba, pudełka, skrzyneczki, wazy, talerze, kwiaty, osóbki, rzeźby najdelikatniejsze, które gdy zaschną, przechodzą twardością kamień. Potem można gdy wyschną, raszplować, piłować, ogładzać, dawać polor, a i do ciasta można było farby przymieszać jakiéj się podobało. Kto chce mieć sztukaterye przy meblach, albo w pokojach, może z tego ciasta do formy odciski robić; a lepsze są niż gipsowe, bo się niekruszą i są wiecznie trwałe.

Wieża telegraficzna w Paryżu. W roku upłynionym naliczyli w biórze ministeryum spraw wewnętrznych 300,000 depeszy telegraficznych; wszystkie odbierają się w dziedzińcu gmachu ministeryalnego w wieży telegraficznéj, gdzie się zestrzela cała świadomość rządów państwa francuzkiego. Wieża ta wznosi się na 50 metrów, a z niéj wybiega 150 drutów do 64 departamentów. Tłum pisarzy, telegrafistów, chemików, tłmaczy, kuryerów i sług podrzędniejszych czuwa dzień i noc, a podczas gdy minister w salonie gości przyjmuje, może oraz rozmawiać się z 64 prefektami, i na jedno skinienie wywołać hufce urzędników po całéj Francyi. A co więcéj, Europa z tą wieżą koresponduje.

Wiadomo że igła magnesowa nie pręży prosto na północ, ale że się odchyla na zachód. Luboć takie przechylenie dziś nam wydaje się prawem, nie zawsze przecież tak bywało. Z ksiąg astronomicznych i regestrów prowadzonych przed laty, okazuje się że od roku 1571 do 1660 odchylała się na wschód, że w roku 1666 stała wprost do północy, i że dopiéro od tego czasu po rok 1816 zaczeła się przechybiać na zachód. W roku 1816 zaczeła znowu nawracać do północy, jak p. Arago uważał. Według obliczenia p. Arago dochodziło odchylenie igły magnesowéj w r. 1816. stopni $22^1/_2$; a zaś w roku 1853, trzeciego Grudnia uważał p. Langier, że się odchylała tylko do $20^1/_4$ stopnia sferycznego, co dowodzi że się do północy napowrót przybliża. P. Chapallon uważając stosunek w jakim dawniéj odchylała się igła od wschodu do północy, a od północy na zachód, zapowiada że w r. 1967 igła magnesowa stać znowu będzie prosto na północ.

Jak Gdańsk pszenicą, słyną miasta południowéj Francyi z handlu perfumami. Wszystkie pewnie haremy świata nie wydają tyle pachnideł, co który dom handlowy w Grasse nad morzem śródziemném. Dla ciekawości zapiszemy co z nich jeden w zeszłym roku spotrzebował: 5,000 kilogramów skórek pomarańczowych, 30,000 kilogr. kwiatu akacyi, 27,000 kilogr. kwiatu fiałkowego, 10,000 kilogr. liścia różanego, po 8,000, — 5000 kilogr. najmniéj różnych innych kwiatów i liści pachnących, których u nas ledwo z nazwiska znają, a szereg ich nie mały, bo setki przechodzi.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*